

NR 5/2011

gazeta
dla

6
TYSIECY
SERC

BETONOWE
WYSPY

W
S
T
W
M

słowo miesiąca



gazet ownia

WYDAWCA

Pistacja Media
produkcja@pistacjatv.com
biuro@pistacjatv.com
www.pistacjatv.com

REDAKTOR NACZELNY

Agata Grabowska
gazetownia@pistacjatv.com

FOTO

Katarzyna Bogucka
Sylvia Czarnacka

ILUSTRACJA

(PIngwin)
Aleksander Bogucki

OPRACOWANIE GRAFICZNE I SKŁAD

Małgorzata Wdziekońska
malgorzata.wdziekonska@gmail.com

OKŁADKA

Małgorzata Wdziekońska

Wydawca zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku Gazetownia, na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego jest zabronione.

Copyright© P!stacja Media 2011

W NUMERZE:

nowy początek W DOMACH Z BETONU...	004
drogowskazy	010
na papierze BETONOWE WYSPY	012
moja udręka i ekstaza ROZMOWA Z PROFESOREM EDWARDEM MALCEM	016
bajka dla dorosłych ZUZIA KONTRA WIELKA PŁYTA	024
oddech	030
guzik MALOWANE NA ŚCIANIE	032
tolerancja	036
czyK/Kicz MĘŻCZYŻNI SĄ LENIWI	040
szort mat BETON	044
bajki nowe SYMBIOZA	046



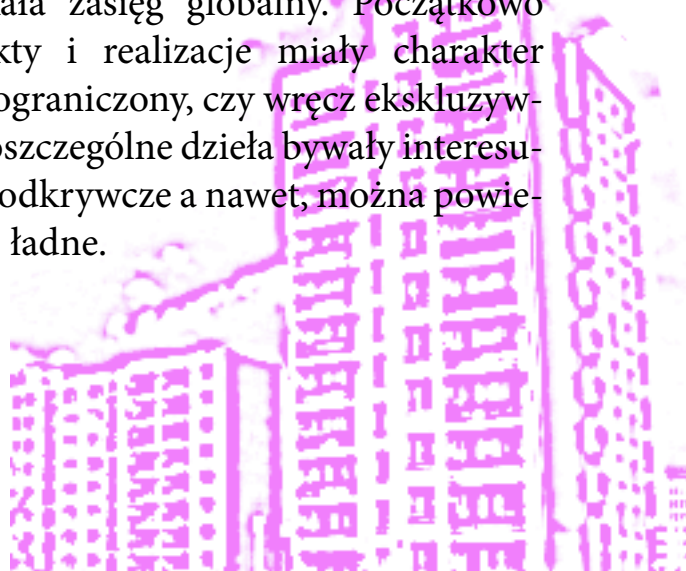
„W domach z betonu nie ma wolnej miłości...”

Powyższy cytat z piosenki Martyny Jakubowicz zawiera stwierdzenie, wskazujące na związek pomiędzy przestrzenią zamieszkiwania, a wewnętrzną przestrzenią człowieka, jego psychiką i obyczajem. Uświadomienie sobie tego związku jest dorobkiem czasów nowożytnych, a XX wieku w szczególności.

Co prawda przywołany w tekście beton jest wynalazkiem bardzo starym, to dopiero koniec XIX wieku przyniósł większe realizacje architektoniczne z użyciem tego materiału. Przełom nastąpił w roku 1824, za sprawą angielskiego murarza Josepha Aspina. Opatentował on spoiwo będące mieszaniną wapienia i gliny, zwane cementem portlandzkim i uznawanym za początek współczesnego betonu. Kolejny krok, to beton zbrojony, który to produkt znalazł szerokie zastosowanie w budownictwie. W 1884r, w Chicago zbudowano pierwszy drapacz chmur

o stalowej konstrukcji ramowej, a pięć lat później powstał pierwszy betonowy most. Niewiele później twórca chicagowskiej szkoły architektury, Louis Sullivan opublikował artykuł, w którym wzniosł słynne później i wielokrotnie cytowane hasło: „*forma wynika z funkcji*”. Podchwyczone przez grono młodych architektów, stało się mottem i standardem przyszłego funkcjonalizmu i minimalizmu, doprowadziło też do wielkiego pomieszenia pojęć w dziejach architektury, których rezultaty możemy dostrzec, po prostu wyglądając przez okno.

Beton stał się bazą i symbolem architektury modernistycznej, która szybko uzyskała zasięg globalny. Początkowo projekty i realizacje miały charakter dość ograniczony, czy wręcz ekskluzywny, poszczególne dzieła bywały interesujące i odkrywcze a nawet, można powiedzieć, ładne.



Nowe miasta - w wizji Le Corbusiera, czy niemieckiej grupy Bauhaus - miały być monumentalnymi i funkcjonalnymi ogrodami, wśród, których wznosiły się proste, ale estetyczne bloki z przeszklonymi przestrzeniami i własną infrastrukturą. Uproszczone i sprymitywizowane realizacje tych pomysłów prowadziły do mnożenia nudnych, bezosobowych pudeł i stały się przekleństwem wielu miast i ich mieszkańców. Równolegle z funkcjonalnym minimalizmem istniały jednak tendencje, których forma architektury była zagadnieniem istotnym czy wręcz kluczowym (ekspresjonizm, art-deco), modernizm wykazywał jednak największą siłę oddziaływania.

W krajach totalitarnych, w nazistowskich Niemczech i Związku Sowieckim zapanowała w owym czasie maniera architektoniczna, którą najkrócej można określić jako połączenie funkcjonalizmu z monumentalnym neoklasycyzmem, na temat tej tendencji - właściwie tyle, z jej efektami można się zapoznać zwiedzając warszawski MDM i Muranów.

W latach powojennych, w strefie oddziaływania cywilizacji Zachodu, dał się zauważyć kryzys koncepcji i realizacji modernistycznych. Jednym z ostatnich, dużych projektów było osiedle Pruitt-Igoe w St. Louis, do złudzenia przypominające warszawskie osiedle Za Żelazną Bramą. Składało się ono z ustawionych rzędami ogromnych bloków mieszkalnych i choć warunki bytowania

były w nich z pewnością lepsze, niż te w otaczających kompleks starych budynkach, to wzorcowe osiedle w ciągu kilkunastu lat zmieniło się w zdewastowany przez młodzieżowe gangi slums. Większość mieszkańców po prostu uciekła, a cały kompleks w 1972 wyburzono. Likwidację Pruitt-Igoe wielu uznaje za symboliczny koniec urbanistyki modernistycznej, a w każdym razie jej ortodoksyjnej postaci. Zwracano uwagę, że modernistyczna koncepcja architektury nie tworzy właściwych warunków dla rozwoju człowieka, rodzi alienację i rozpad wspólnot, wskazywano na konieczność zróżnicowania przestrzeni oraz funkcji obiektów, oraz powrotu do takich rozwiązań, jak zabudowane ulice i place.

Dostrzeżono, że architektura oprócz swojej funkcji czysto użytkowej spełnia też rolę estetyczną i symboliczną, rolę swego rodzaju przekątnika, ślącego komunikat zrozumiały dla ludzi tworzących wspólnotę. Rolę takiego przekątnika mają spełniać elementy niefunkcjonalne, takie jak ornament, czy też powtarzalne atrybuty stylu, łatwo rozpoznawalne i oswajalne przez odbiorcę. Taka architektura daje poczucie ciągłości, osadzenia w oswajonej przestrzeni a także, przynajmniej w założeniu, powinna umacniać wspólnotę.

Kryzys urbanistyki modernistycznej w krajach Zachodu, nie oznaczał jednak zaprzestania realizacji jej radykalnych

założeń. W krajach komunistycznych, po odstąpieniu od założeń neoklasycyzmu, uznano, że to idealna nowa architektura dla nowego człowieka.

Swoją drogą jej koszarowy, czy jak chcą inni obozowy charakter, doskonale korespondował z istotą systemu w którym funkcjonowała. Na ogromnych przestrzeniach Eurazji powstawały liczne fabryki domów, z produkowanych tam płyt stawiano w wielkich ilościach, wielkie betonowe pudła. Drezno, Warszawa czy Ułan Bator, wszystko wyglądało tak samo. Dokonano swoistego gwałtu na założeniach architektury modernistycznej. Choć projekty Le Corbusiera były monumentalne to przywiązywał on dużą wagę do światła, stąd duże okna i przeszklone elementy, a także do zieleni (ogrody na dachach to jego „konik”).

W „demoludach” budowano małe mieszkanek z małymi oknami lub nawet bez okien (tzw. „ślepe kuchnie”). Osiedla były pozbawione elementarnej infrastruktury, nie projektowano lub nie wykonywano zaprojektowanych części publicznych. Pośród rachitycznej zieleni stały zazwyczaj szeregowo szare bloki sypialne, z surowej, nieotynkowanej betonowej płyty.

Nikt chyba nie przeprowadził badań analizujących wpływ takiego otoczenia na psychikę człowieka. Jakie oddziaływanie miała taka monotonia i ubóstwo pejzażu, a zatem brak zróżnicowanych bodźców, na proces rozwojowy dzieci?

Byłoby ciekawe sprawdzenie, czy wśród pokoleń wychowanych w „blokowiskach” depresja i psychoza przekraczają statystyczną normę.

Odchodzenie od urbanistyki modernistycznej na Zachodzie zbiegło się w czasie z apogeum erupcji jej karykaturalnej wersji w krajach komunistycznych, czyli w latach 70-tych i 80-tych. Równolegle architekci świata zachodniego stanęli przed dylematem, czym zastąpić pułapkę abstrakcyjnych klocków? Zasadniczo można było to zrobić na dwa sposoby, albo przez fakturę i detal, albo przez operowanie bryłą i masą. Najradykałniejszy zwrot wykonał „papież modernizmu” Le Corbusier, który wypróbował obydwie te drogi, znowu stając w awangardzie zmian. Już w latach 50-tych zrealizował kilka projektów, w których forma stała się zdecydowaną dominantą, można wręcz powiedzieć, że przypominały wieloprzestrzenne rzeźby. Te budowle przez następne dziesięciolecia inspirowały architektów na całym świecie, a użycie wielkich bloków surowego betonu zainicjowało, przy okazji, nowy styl, nazywany brutalizmem. Źródłem tej nazwy nie jest, jak można by sądzić, brutalność (choć coś jest na rzeczy), ale francuskie beton brut, czyli beton surowy.

Oddziaływanie tej nowej, szczęśliwie marginalnej tendencji, dotarło także do Polski. Sztandarową realizacją tej maniery stał się u nas dworzec kolejowy

w Katowicach, który podobno ma być, czy nawet już jest rozbierany. Odbywa się to przy licznych protestach środowisk twórczych, twardo stojących w obronie tego „zabytku”, chociaż powiedzmy sobie szczerze, nie ma czego żałować! Ktokolwiek bywał dawniej na dworcu w Katowicach, może potwierdzić, że było tam - parafrazując Kaziuka Staszewskiego - tak paskudnie „że aż pękały oczy”. Pewnie było też tak, że pozostawiając, z przyczyn czysto ekonomicznych, nie otynkowane elewacje bloków mieszkalnych, z uwidocznionymi łączeniami szarych betonowych płyt, projektanci mogli wobec siebie samych tworzyć alibi, że oto tworzą architekturę brutalistyczną, poprzez ukazanie prawdziwej struktury budulcowej czyniąc zadość jednej z jej naczelných zasad, zasadzie „szczerości”.

Sądzę, że przywoływanie kategorii szczerości w tym kontekście było grubym nadużyciem. To co po modernizmie, czyli postmodernizm nie jest żadnym jednorodnym stylem, można jedynie stracić się ogólnie przybliżyć jego wyróżniki. Jest nim z pewnością dominacja formy, występuje wręcz dysharmonia między funkcją budynku a jego wyglądem zewnętrznym. Jednocześnie postmodernizm dokonał swoistej rehabilitacji historycznych stylów architektury, cytując je obficie, przetwarzając i mieszając w sposób, który ćwierć wieku wcześniej zostałby uznany za

barbarzyński i absurdalny. Istnieje pogląd przypisujący tej nowej architekturze infantylność. Rzeczywiście jest w niej coś z młodzieńczej zabawy formą, czy wręcz „zgrywy”.

Zasadniczo nie mamy w Polsce typowych przykładów architektury postmodernistycznej, mentalny tradycjonalizm i ekonomiczne ubóstwo okazały się dla niej skuteczną barierą, choć istnieją realizacje przyswajające elementy tej tendencji (twórczość Marka Budzyńskiego). Jest jednak budynek, który przetrwawszy kilka epok, nieoczekiwanie nawiązał dialog z nowymi trendami. Pałac Kultury i Nauki w Warszawie. Jeżeli postmodernizm bywa nazywany



nowym eklektyzmem lub eklektyzmem ironicznym to architektura pałacu będąca karkołomnym połączeniem strzelistego gotyku z neoklasycyzmem (a można tam, nie bez podstaw, doszukiwać się też art-deco) dobrze wpisuje się w ten kontekst. Dlatego też znani, światowi architekci wykazywali żywe zainteresowanie tym obiektem i nie mogli pojąć awersji jaką żywią do niego tubylcy. Można dziś właściwie zaprojektować budynek o dowolnej bryle, fakturze i kolorystyce. Jest chyba też tak, że daje się w świecie zaobserwować pewne zmęczenie szaleństwem formalnym, pojawia się coraz więcej obiektów zaprojektowanych oszczędnej. Być może z perspektywy czasu zostanie postmodernizm

oceniony jako krótkotrwała efemeryda, jałowy eklektyzm będący odreagowaniem ascezy funkcjonalizmu.

Jakkolwiek sprawy się potoczą beton, obok metalu i szkła będzie podstawowym budulcem dla przestrzeni w której żyjemy, a ona, co starano się wykazać wcześniej, nie pozostaje bez wpływu na to jak myślimy i co czujemy. I będzie tak do czasu kiedy to zostanie wynalezione nowe tworzywo sztuczne, które znajdzie szerokie zastosowanie w budownictwie - a to niechybnie nastąpi.

Z pozdrowieniami
Aneta Begin



Zagadka PIngwina

Między 9:00 a 9:15 kioskarz sprzedał dwa egzemplarze magazynu „Gazetownia” i pięć egzemplarzy pewnej gazety za łączną kwotę 25 PLN.

Między 9:15 a 9:30 sprzedał pięć egzemplarzy „Gazetowni” i dwa egzemplarze pewnej gazety za kwotę 31 PLN.

Ile kosztuje „Gazetownia” a ile gazeta?



Zapraszamy do zabawy – czekamy na odpowiedzi



Szanowny Czytelniku

Zapraszamy do czynnego uczestnictwa w życiu Gazetowni. Czekamy na Twoje teksty, obrazy i to wszystko, czym chciałbyś się podzielić z innymi. Twoje komentarze i sugestie będą dla nas cennymi wskazówkami.

Serdecznie zapraszamy dużych i małych do letniej literackiej zabawy.

Wasze przygody przebrane na papier zamieścimy na łamach Gazetowni. Opowiadanie wylosowane przez PIngwina zostanie wyróżnione **nagrodą Pİstacji**.

Nasz adres:

biuro@pistacjatv.com

gazetownia@pistacjatv.com

Drogowskazy...

Drodzy czytelnicy!

Nadszedł moment wytchnienia w naszych comiesięcznych rozważaniach na temat pracy. W wakacje rynek pracy w dużej mierze zwalnia (o ile mi wiadomo nie dotyczy to mleczarni) i nawet najbardziej zakochany w swojej pracy entuzjasta przestaje na chwilę myśleć o karierze i zaczyna planować urlop. My też, rozmawiając o rywalizacji, doszliśmy do momentu kiedy trzeba się na chwilę zatrzymać, by z nową energią wziąć pod lupę kolejne związane z pracą zagadnienia. Dlatego z tematem wypalenia zawodowego poczekamy do jesieni, która bardziej sprzyja refleksji i poruszaniu tego poważnego i często ignorowanego tematu. Kolejny „Drogowskaz” ukaże się, więc za 2 miesiące. A tymczasem pozwólmymy się prowadzić naszym wewnętrznym drogowskazom i zobaczymy dokąd nas przez ten czas zaprowadzą. Szerokiej drogi!

Carol Wolff

PS:

Jeśli ktoś z Was odwiedza nas po raz pierwszy - zapraszamy do lektury „Drogowskazów” w numerach 1-4.

cdn...

*Salony firmowe rowerów Giant
w Warszawie*

GIANT TARCHOMIN

GIANT TARGÓWEK



www.giant-tarchomin.pl

BETONOWE WYSPY

Babcia przyglądała się Zuzce z rosnącym zainteresowaniem. Dziewczyna miała bardzo asymetryczną fryzurę, w której jedną połowę głowy pokrywały włosy o długości dochodzącej do jednego centymetra. Druga część była swoistą końską grzywą, odrzucaną co rusz przez nerwowe ręce wnuczki. Nie widziała jej od komunii. A wtedy loczki, koczki i wianeczki decydowały o dorosłości. Cóż, dorastała. Godzinę temu bez żadnej zapowiedzi zadzwoniła do jej drzwi. Przyjechała sama. Pociągami. Znad morza do Łodzi. Dotarła pod zdobyty adres. A ma dopiero 14 lat. Uuu... Coś się dzieje. Siedziały jednak bez słowa nad kawałkami kupnej szarlotki i parującymi szklankami z herbatą. Starsza pani nie chciała jej ponaglać. Jeżeli tu przyjechała, to nie po to, aby teraz skubać niechętnie to przylukrowane ciastko i parzyć sobie wargi herbatą. Sama dojdzie do chwili, kiedy powie, co jej leży na duszy. Babcia miała czas. Dla wnuczki zawsze. Zuzka zresztą rewanzowała się babci lustrując ją uważnie wzrokiem. W końcu zaczęła.

- Bardzo się babcia zmieniła - delikatnie i pokojowo. Dobrze jest. - Ale zdecydowanie na dużo ... lepsze - dodała na wszelki wypadek

- Mhm - pokiwała głową babcia. - ty też. Chyba też na lepsze - Zuzka uśmiechnęła się kątem ust. Trochę smutno, a trochę ironicznie.

- Taa - zacisnęła wargi. Coś ją męczy, przebiegło przez głowę seniorce rodu. No w końcu przecież nią była. - taa. No właśnie. Bo widzisz babcia...

- No -

- Widzisz babcia, bo to tak. Mam 14 lat. No nie?

- Nie da się ukryć.

- No właśnie. Mam 14 lat, ledwie, a jestem taka stara - starsza pani nie mogła powstrzymać prychnięcia śmiechu. - to prawda babcia. Naprawdę. Jestem koszmarnie stara

- Mhm - babcia zacisnęła ręce w pięści, wbijając sobie paznokcie w dłonie, aby tylko się nie śmiać. Wnuczka skubnęła łyżeczką kawałek ciasta.

- Moje życie to totalny odlot - zaczęła znowu. - Mama to martwi się tylko, czy nie jestem aby chora - rzuciła z przekąsem - wie babcia dlaczego? - rozmówczyni pokręciła przecząco głową - bo nie mam chłopaka i się nimi nie interesuję. No po prostu. Ta. Czy ja muszę być jak wszystkie inne? No może nie wszystkie.. ale i tak większość. Mam przecież czas. No nie? Nie interesują mnie i koniec. Skończę szkołę, pójdę na architekturę i pewnie kogoś znajdę. Taka ostatnie też nie jestem. - babcia zdecydowanie pokiwała głową. Na pewno taka ostatnia to ona nie była. - a mama cały czas mnie podpytuje, A ten to ci się podoba. Nie? A dlaczego? Przecież taki miły i przystojny - sparodiowała matkę. - Ojca, to zupełnie w domu nie ma. No, czasem wraca. To jest tak sponiewierany, że pada na kanapę i zasypia. Nawet pilota do ręki nie weźmie. Wie babcia, kiedy z nim ostatni raz rozmawiałam? - zaprzeczenie - w święta. A to było trzy miesiące temu. Mieliśmy wszyscy razem wyjechać. No, odnowić więzy rodzinne i tak dalej... Ale jakiś nowy projekt im władowali i znowu musiał urlop przesunąć. Dobrze, nie? O Rafale to już chyba lepiej nie mówić... - mruknęła nagle cicho. Rafał był jej starszym o cztery lata bratem - ale... a co mi tam. O nim też mogę. Wiesz babcia ile on piwa pije? No przecież porażające. Albo cały czas nos w kompie trzyma, albo po klubach się szlaja. Odkąd dowód wyrobił, to stwierdził, że mu już wszystko wolno. I wiesz co babcia jest w tym najgorsze? - znowu przeczący ruch głową - że rodzice mu na to pozwalają. Kurde, a ja widzę to wszystko. Widzę te ich sztuczne uśmiechy, to tiu, tiu, tiu, takie na niby. Takie na pokaz i wymiotować mi się chce. Wiesz, co ja bym chciała? Żeby zamiast mówić mi o antykoncepcji, mama powiedziała: poczekaj z tym do ślubu. No przecież tak lepiej. No nie? Nie chcę, żeby oni wszyscy byli tacy cholernie nowocześni. Tacy super na topie. No wiesz, tacy - zatrzepotała dłońmi. W oczach pokazały się jej łzy. - Jestem stara. Zupełnie stara. I taka chcę być. Jeżeli ten zwariowany świat ma taki być, to... to ja chce być już bardzo stara - rzuciła spojrzenie w stronę tej kalendarzowo starszej. - i wiesz co, babcia? Jak ja ciebie zobaczyłam... - pokręciła głową - ja pamiętałam ciebie taką

staroświecko ubraną, przepraszam - babcia nie zmieniła wyrazu twarzy - taką spokojną, wyważoną.. i jak ja ciebie zobaczyłam w tych dżinsach i koszulce. I te twoje włosy - Babcia nadal się nie poruszyła - i przestraszyłam się, że stałaś się taka sama jak oni. Taka nowoczesna. Z przyczepionym uśmiechem. Smile. Naprawdę się przestraszyłam. Wiesz jak ja zaczęłam na nich mówić? To znaczy nie do nich, ale o nich? Betonowe wyspy. A wiesz dlaczego? Znasz takie betonowe blokowiska? No jakże by nie, sama przecież w jednym mieszkasz. Albo takie wybetonowane kanały, no, albo cokolwiek betonowe. Nie? Nic na tym nie rośnie, nic się nie zmienia. Tylko z czasem robi się coraz bardziej brudne i smutne. I oni są dla mnie jak takie betony. I są jak wyspy. Strasznie samotni. Babcia - naraz chlipnęła - babcia, powiedz, że ty nie jesteś takim betonem. Proszę - rozpląkała się chlipiąc - ja nie chcę być w takim świecie. Ja nie... Ja chcę się zmieniać, ja chcę normalnie rozmawiać - wyjękiwała pomiędzy kolejnymi chlipnięciami - koleżanki mówią, ale masz gites rodziców. A ja ich wcale nie mam. Rozumiesz mnie babcia? Rozumiesz? - nestorka powoli podniosła się z krzesła. Przesunęła je do Zuzki i ponownie usiadła. Otoczyła wnuczkę ramieniem. Po chwili poczuła, że dziewczynka wtuliła się w nią bardziej. Niech się wypłacz. Jej mądra, mała dziewczynka. Bidulka. I starszej pani też się zakręciły łzy. Ale bardzo dzielna bidulka, pomyślała po chwili. Pocałowała wystrzyżoną część głowy.

- Moja malutka - powiedziała spokojnie, kiedy pierwsza fala płaczu minęła - moja malutka, mądra dziewczyna - uniosła lekko buzię wnuczki, aby popatrzeć w zapłakane oczy - nie, na pewno nie jestem żadnym betonem. Na pewno. Wierzę, że się przestraszyłaś. Mhmm. Normalne. Miałas prawo. Ale to też była moja zmiana. Ja też chcę się zmieniać. Nie stać ciągle w jednym miejscu. Dlatego i wyglądam inaczej i na pewno jestem inna, niż ta babcia jaką pamiętasz - pomyślała o Uniwersytecie Trzeciego wieku, na który się zapisała, o basenie, na który zaczęła chodzić, no i o panu Zbyszku, który coraz częściej się do niej przyłącza na spacerach. Dobrze się z nim rozmawia. I milczy też. Odkąd dzieci wyszły z domu i jakoś tak zupełnie naturalnie zaczęły o niej zapominać, minęło dużo czasu. Musiała się zmienić, aby już nie płakać. Aby zebrać siłę i znowu... i zacząć żyć od nowa. Ale betonem na pewno nie była. No może ostatecznie jakimś szlachetnym marmurem, pomyślała o sobie

z ironią. Przede wszystkim kochała. Wszystko to, co ją otaczało. Każdy nowy dzień. Każde nowe marzenie. A okazało się, że ma ich naprawdę dużo. Teraz je realizowała. Miała czas. I na pewno kochała swoją rodzinę.

Chociaż byli tak daleko i tak porzuceni po świecie. Od niedawna miała Skype'a. Połączy się z nimi. A co?

- Jak zjesz ciasto to coś ci pokaże - obiecała, a kiedy dziewczynka pośpiesznie dokończyła jedzenie, kazała jej iść za sobą. Wyprowadziła ją przed blokową klatkę - chodź i usiądź na tej ławce. - wnuczka nie rozumiała, ale mimo wszystko wykonała polecenie - a teraz patrz - i wskazała jej betonowe płyty chodnikowe - patrz.



Widzisz. Każdy beton... każdy, może popękać - w chodniku rysowały się wyraźne szczeliny, a pomiędzy nimi wrastała wszędobylska trawa - każdy pęknie, jeśli odpowiednio na niego podziałać.

- Ale jak? - pokręciła głową Zuzka

- Jak? To nie będzie łatwe, ale ty jesteś bardzo silną dziewczynką i na pewno dasz sobie radę.

- Jak?

- Kochaj ich. Kochaj ich najmocniej jak się da i mów im to. I bądź dla nich dobra. Już stworzyłaś swoje zasady. Trzymaj się ich i o nich też im mów. Mów, co cię boli i dlaczego się nie cieszysz, że są tacy, jacy są. Nie zmieniaj się jak po pstryknięciu palcami, ale... - zawiesiła głos - ale, po pewnym czasie pękną.

Katarzyna Bartsch-Cielebon

„Moja udreka i ekstaza„

Rozmowa z profesorem kardiologii
Edwardem Malcem przeprowadzona w czasie trwania
*III Integracyjno-edukacyjnych warsztatów dla dzieci
z wadami serca i ich rodzin*
zorganizowanych przez fundację **Cor Infantis**.



**Kiedy postanowił Pan zostać lekarzem?
Czy to marzenie z dzieciństwa, czy
narodziło się trochę później?**

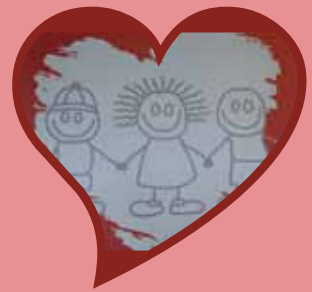
Już w latach 60, jako mały chłopiec, wiedziałem, co chcę robić w życiu. A to za sprawą ojca mojego serdecznego kolegi. Był lekarzem i często zabierał nas ze sobą na wizyty. Widziałem jak pomaga ludziom, jakim szacunkiem i wdzięcznością był otaczany. Ludzie przychodzili do niego z różnymi problemami, nie tylko medycznymi. Był trochę jak proboszcz. Chciałem być taki, jak on. Obaj z kolegą chcieliśmy.

I to wystarczyło? Chcieć?

Nie było łatwo. Jak pytaliśmy ojca Jarka, co zrobić, żeby zostać lekarzem, odpowiadał - Musicie się bardzo dużo uczyć. Więc uczyliśmy się. Wtedy nie było konkursu świadectw. Były bardzo ciężkie egzaminy z fizyki, chemii, biologii i języka, a na jedno miejsce kilkunastu kandydatów. Byłem bardzo dobrym uczniem i tak w 1973r dostałem się na wymarzoną medycynę. Studia udało mi się skończyć z wyróżnieniem, wtedy nazywało się to Czerwony Dyplom. Jestem ambitny, ale uważam, że lekarz powinien być ambitnym człowiekiem.

**Jaki jeszcze, Pana zdaniem powinien
być lekarz?**

Rzetelny, uczciwy, zdyscyplinowany, z empatią. Taki, który w pacjencie poza narządami widzi człowieka i wie, ile w danej chwili może mu powiedzieć. W Stanach Zjednoczonych mówi się pacjentowi wszystko. Ja nie do końca się z tym zgadzam. Medycyna to nie matematyka i zawsze trzeba zostawić jakąś furtkę. Nawet jeśli dziś





jakaś choroba jest nieuleczalna, za rok możemy ją widzieć w innym świetle. W tym zawodzie trzeba dużo pokory.

Mówi się wśród kardiochirurgów, szczególnie młodych, że jak ktoś zaczyna operować serca, to staje się Bogiem. Jest nawet takie powiedzenie - Czym różni się kardiochirurg od Pana Boga? – Panu Bogu nigdy nie wydawało się, że jest kardiochirurgiem. Ale im dłużej jest się w tym zawodzie, tym pokora jest większa.

Prekursorem leczenia hipoplazji lewego serca był prof. William Norwood, jak twierdzi wielu, największy kardiochirurg na świecie. Pan jest jego uczniem.



Serce fascynowało mnie już na studiach, kiedy zacząłem bywać na salach operacyjnych. W roku 1980, kiedy prof. Norwood przyjechał do Krakowa, organizować polsko-amerykański szpital kardiochirurgii dziecięcej i okazało się, że mogę być jego uczniem, nie zastanawiałem się nawet chwili. Pojechałem na stypendium jak inni, z tym, że inni pojechali raz, a ja wracałem wielokrotnie i wciąż tam się kształciłem. Później pracowałem z nim w Szwajcarii, gdzie zaprosił mnie do swojego zespołu. Kiedyś poproszono mnie o wykład na temat tego, co robię. Zatytułowałem go “Moja udręka i ekstaza”. Początki były trudne, jak zaczynałem, to wszyscy pukali się w głowę, ale gdybym się zraził i nie podjął wyzwania, dziś nic by nie było. Prof. Norwood był moim mentorem, nauczycielem, a w chwili obecnej również przyjacielem. Kiedy zaczął też było ciężko, szczególnie kiedy przyszły niepowodzenia i zmarło dużo dzieci. Nikt nie wierzył w jego metodę, a dziś operują na całym świecie.



Dlaczego zrezygnował Pan z pracy w Krakowie?

Długo się wahałem, ale w pewnym momencie stwierdziłem, że nie mogę tu uprawiać medycyny zgodnie ze swoim sumieniem. Przez jakiś czas powtarzano mi, że nie powinienem przyjmować dzieci z całej Polski. Bo to drogo. Ale granice zostały przekroczone, kiedy dostałem od dyrekcji pismo, że od dnia tego i tego nie wolno mi operować dzieci spoza rejonu krakowskiego i odebrano mi premię. A wieczorem dostaję telefon z Warszawy, że urodziło się dziecko z zespołem niedorozwoju lewego serca. Chcieli natychmiast przewieźć dziecko do Krakowa, potrzebowali tylko mojej zgody. Wówczas dzieci z takimi wadami w Polsce, praktycznie operowałem tylko ja, a musiałem im odmówić. Wtedy przelała się czara goryczy. Po tym telefonie długo rozmawiałem z żoną, a następnego dnia zadzwoniłem do Warszawy, żeby przywieziono dziecko i jednocześnie złożyłem wypowiedzenie do szpitala i na Uniwersytet Jagielloński. Dziecko przywieziono i przeprowadziłem operację. Już wcześniej dostawałem oferty pracy z całego świata, wybrałem Monachium i niemal od razu zacząłem tam pracować. Razem ze mną wyjechała dr Katarzyna Januszewska, obecna również na zjeździe, moja asystentka.

W pewnym momencie dało się słyszeć, że obraził się Pan na Polskę.

Nigdy nie obraziłem się na Polskę. Tu się urodziłem i wykształciłem, mam dług wobec Polski i Polaków. Po prostu pracuję trochę dalej od domu. Teraz nie ma już granic. Już kiedy pracowałem w Monachium zadzwonił do mnie rektor U.J. z prośbą, żebym przyjechał i zope-





rował dziecko jego znajomych. Wsiadłem w samolot, przyleciałem i zoperowałem to dziecko. I wszystkie dzieci w klinice czekające na zabieg. Zoperowałem i dopiero wyjechałem.

Jak nawiązał Pan współpracę z fundacją Cor Infantis?

Współpraca nawiązała się bardzo naturalnie, tym bardziej, że nazwa Cor Infantis, pochodzi ode mnie. Jeszcze w Krakowie założyłem stowarzyszenie o tej nazwie i byłem jego prezesem, bo wielu rodziców po operacji dziecka chciało przekazać pieniądze na rzecz kliniki. Kupowaliśmy aparaturę lepszą, niż mógł nam zapewnić szpital, zabawki i pościel dla dzieci. Pomagaliśmy też rodzicom. Zdarzało się, że nie mieli na bilet, żeby odwiedzić dziecko, organizowaliśmy im noclegi, opłacaliśmy obiady. Później przekazałem tę nazwę do Lublina, pani Edycie Paradzińskiej i panu Michałowi Pytysowi, których dziecko operowałem, a którzy chcieli pomagać innym. To oni założyli tę fundację, która teraz robi niesamowitą robotę. Dzięki nim zoperowałem w Monachium 250 polskich dzieci. W dzisiejszym świecie trudno wyobrazić sobie medycynę bez wspomagania przez fundacje i stowarzyszenia. Działają na całym świecie i jest to zupełnie naturalne. W Monachium, szpital w którym pracuję, też nie jest w stanie zapewnić tak wysokiego standardu i komfortu. Wspomaga go wspaniała fundacja rodziców, której szefową jest Księżna Bawarii. I podobnie w Polsce wiele dobrego robi "Serce Dziecka" i "Orkiestra Świątecznej Pomocy", no i oczywiście Cor Infantis.



Uratowanie 250 dzieci jest niewątpliwie sukcesem Fundacji Cor Infantis i Pana.

Ratowanie dzieci to mój zawód. Moim sukcesem jest to, co dzieje się tutaj, w tym hotelu. Ten zjazd rodziców z dziećmi jest sukcesem. Sukcesem dla lekarza jest zdobycie zaufania pacjenta. Pracowałem w Krakowie, miałem pacjentów z całej Polski i zagranicy, wyjechałem do Niemiec, pacjenci pojechali za mną. Jestem tutaj, bo wiem, że rodzice liczyli na to, że będę i chcą ze mną porozmawiać. To jest właśnie sukces.

A porażki? Wiadomo, że są nieodłącznym elementem sukcesu.

Każdy kardiochirurg wie, że 90% wad serca da się zoperować, te pozostałe 10% jest naszą porażką. Nie pamiętam wszystkich dzieci, których operacje się powiodły, ale pamiętam te, którym się nie udało. Wspominam je i mam w pamięci. Do dziś to dla mnie głębokie przeżycie. Człowiek ma poczucie, że zrobił wszystko, a jednak maluch umiera. Nie radzę sobie z tym.

Inny rodzaj porażki to inwestycja w ludzi, którzy później okazują się nie warci czasu, jaki został im poświęcony. To, co mnie najbardziej boli, to sytuacje, kiedy rodzice chorych dzieci spotykają się z odmową dalszego leczenia, tylko z tego powodu, że pierwsza operacja była przeprowadzona w Monachium. Przyjmuję małych pacjentów z całego świata, przede wszystkim z Niemiec, ale też Włoch, Francji, Bułgarii, krajów arabskich i tam nikt nie protestuje, że ratuję ich dzieci. Natomiast w Polsce jest grupa kardiochirurgów, którzy uważają, że ja, przyjmując





polskie dzieci w Niemczech, podważam ich autorytet. A co ja mam powiedzieć tym rodzicom? Że nie przyjmę ich dziecka, bo podważę tym autorytet polskich lekarzy? Przecież ja pracuję na rzecz polskiej kardiologii, jesteśmy po tej samej stronie, a jednak mam w Polsce wrogów i nie jestem tu zapraszany.

Rodzice podkreślają Pańskie zaangażowanie i oddanie małym pacjentom, często kosztem własnego, wolnego czasu.

Największą radość sprawia mi, kiedy widzę, jak dziecko otwiera oczy po operacji. Jeśli jest to starsze dziecko, zazwyczaj pyta, czy już po, czy się udało, czy będę zdrowy. Natomiast dzieci trzy, czterodniowe po ciężkich operacjach otwierają oczka i trzeba w nich czytać. Ja już się nauczyłem i te spojrzenia trzymają mnie w zawodzie. Lekarze są różni. Wielu drażniło, że przychodziłem w sobotę, patrzeć jak czują się moi pacjenci, że odwiedzałem ich w niedzielę. A ja to lubię. Wtedy jest spokój, cisza, można nawiązać kontakt, porozmawiać. Nie potrafiłem wyjść ze szpitala, bo właśnie kończył się mój dyżur. Wielokrotnie po trudnych operacjach, nie wracałem na noc do domu, bo uważałem i nadal uważam, że trzeba być na miejscu, żeby czegoś nie przeoczyć.



Jak taki sposób pracy przekłada się na życie Pańskiej rodziny?

Moja żona jest lekarzem. Zajmuje się chorobami metabolicznymi. Zawsze mnie rozumiała i wspierała. Dzisiaj jest tu ze mną. Jest też córka, która chce być prawnikiem. Druga skończyła medycynę, ale jeszcze nie wybrała specjalizacji.



Jest dopiero na stażu. Moja rodzina wie, że to, co ja robię, to nie tylko sposób na zarabianie pieniędzy, nawet nie tylko sposób na życie, to pasja. Bycie lekarzem powinno być pasją.

Kardiochirurgia dziecięca to elitarna specjalizacja. Czy ktoś idzie Pana drogą, drogą pasjonaty tego zawodu?

Uczyłem na Słowacji, Białorusi, w Norwegii. Uczę tam, gdzie mnie zapraszają i gdzie chcą posiąść wiedzę. Nie klasyfikuję ludzi po narodowości, patrzę co człowiek sobą reprezentuje. Marzy mi się współpraca między lekarzami oparta na priorytecie, jakim jest dobro pacjenta, pozbawiona zazdrości i zawiści zawodowej, która prowadzi do destrukcji. Wykształciłem wielu kardiochirurgów. Osiem osób zrobiło doktoraty, kilka specjalizacje. W Krakowie zostało dwóch moich asystentów, którzy wcześniej szkolili się w USA, a teraz robią specjalizację z kardiochirurgii. Przyjeżdżają do mnie na staż. Ci, którzy chcą się uczyć, mają takie możliwości.

Jest Pan specjalistą od serc..

Mam olbrzymie doświadczenie. Potrafię odróżnić serce zdrowe od chorego, ale to betonowe, zimne serce od ciepłego i otwartego, ciężko mi do dzisiaj. Taka moja słabość, że jak kogoś spotykam, to przyjmuję, że to dobry, uczciwy i godny zaufania człowiek. Często się mylę... Zdecydowanie łatwiej odróżnić zdrowe i chore serce.

Dziękuję za rozmowę.

Wywiad przeprowadziła Katarzyna Bogucka
Redakcja Agata Grabowska



Zuzia

KONTRA

wielka płyta

Wmieście stał blok z wielkiej płyty. Struktura społeczna bloku kształtowała się następująco: 1/4 dresy, 1/4 emeryci, 1/4 rodziny na dorobku z małymi dziećmi, 1/4 studenci w połowie legalnie wynajmujący kawalerki, w tym Zuzia.

Źle jest płynąć pod prąd. Trudno jest frunąć pod wiatr. Niefajnie jest trzymać z tymi, co przegrywają. Ale chyba najgorzej jest mieszkać w bloku z wielkiej płyty. Tak myślała Zuzia.

Była mądra, pracowita, zawsze chętna do pomocy, uczciwa i dobrze wychowana. No właśnie.. co tu dużo mówić, zupełnie do bloku nie pasowała. A działa się tam, działa..

Codziennie, a także prawie każdej nocy życie w bloku tętniło i dudniło. Każda z grup miała swoje rozrywki i swoje słabości, ale też swoje marzenia. Dresy marzyły o nowych brykach, emeryci o lekach wyłącznie za złotówkę, rodzice o miejscach w renomowanych przedszkolach

lub szkołach, studenci o jeszcze liczniejszych imprezach, co zaś się tyczy Zuzi, to ta marzyła o wielkiej miłości.

Nie o miłości jest jednak ta historia. Nie tym razem. Zuzia spotka kiedyś swoją wielką miłość. Na pewno. Ale to będzie już inna bajka.



Dzień był jak co dzień, a przyszedł po nocy, która także nie różniła się od poprzednich. Mieliśmy zatem dwie wizyty lekarskie poprzedzone dwiema gorączkami powyżej 40 stopni; dwie zarwane noce przy grze komputerowej (chyba szachy, ale mogę się mylić); dwie zakrapiane imprezki; dwie wizyty straży miejskiej; dwa „befory” z gatunku „jest-tylko-kilka-piw-więc-szybko-wychodzimy-i-nie-wracamy-przed-świttem” oraz jedną awarię w postaci zepsutej windy zakończoną dwiema wizytami speców od awarii (pierwszym razem przyjechali bez narzędzi, a wrócić rano oznaczało zostawić na całą noc zatrzaśniętych w windzie mieszkańców, a to dobrzy ludzie byli ci spece).

Po takiej nocy lunął deszcz. Zuzia samotnie stała przed klatką schodową bloku z wielkiej płyty, zastanawiając się, co ma zrobić? Wrócić po parasol na 11 piętro po schodach (windę udało się otworzyć, ale jej nie naprawiono), a w konsekwencji spóźnić się na uczelnię? Czy raczej zmoknąć i paradować w białym mokrym podkoszulku przez całe miasto? Wybór był z gatunku bardzo trudnych i Zuzia nie potrafiła podjąć decyzji. Nagle za jej plecami trzasnęły drzwi i pojawił się Dres numer jeden, fanatyk muzyki disco polo.

- Sie masz lala, co tak sterczysz? Deszczu się, brzydkie słowo, boisz? Chcesz, to cię podrzucę moją mega bryką. Ale wiesz, brzydkie słowo, przysługa za przysługę. Darmo to ode mnie, brzydkie słowo,

nawet z liścia nie można dostać. Pojmujesz, brzydkie słowo, dbam o reputację.

Tu na szczęście zadzwoniła komórka Dres a przerażona Zuzia jękając coś o parasolce uciekła na schody. Brała po dwa stopnie, z trudem chwytając powietrze, aż dotarła na szóste, gdzie płuca odmówiły jej posłuszeństwa, a zagrożenie wydawało się już minimalne (Dres numer jeden mieszkał dwa piętra niżej). Przystanęła, próbując dojść do siebie.

- O mamuniu - podsumowała w myślach zdarzenie - ale dzień się zaczął - zdążyła jeszcze pomyśleć, gdy nagle zazgrzytało, potem zawyło i z wielkim impetem i hurgotem coś przetoczyło się z dołu do góry wzdłuż bloku z wielkiej płyty. Aż szyby zadzwoniły. Zuzia zastygła. Za to z mieszkań zaczęli wyskakiwać po części przerażeni, po części wściekli mieszkańcy, w całkiem oryginalnych, niekoniecznie kompletnych strojach nocnych. Grupa na schodach powiększała się, przyciągając coraz to nowe jednostki, zwabione tajemniczym hałasem, jak i coraz liczniejszym zgromadzeniem. Jedynym przedstawicielem studentów była Zuzia.

- Co się dzieje? Czy to znowu pani dzieci? - indagowała staruszka spod 69 młodą matkę spod 73.

- Co też pani? Wypraszam sobie takie insynuacje - odcięła się młoda kobieta, szczerze zawijając się w biały przezroczysty szlafroczek z fikuśną koronką. -

Dzieci jeszcze śpią. Kajtuś ma gorączkę - dodała, patrząc z wyrzutem i lekkim zdziwieniem na pytającą.

Głowę starszej pani otaczał bowiem XIX-wieczny wykrochmalony na sztywno czepek.

- Bruno, może to twój pitbull domaga się żarcia - zachichotał Dres numer dwa, przepasany w biodrach żółto-czerwono-czarnym ręcznikiem. Bruno uznał dowcip za słaby, więc tylko ziewnął lekceważąco.

Był nieformalnym liderem grupy, dres nosił z galanterią, a jego pies nawet nie warczał, od razu rzucał się do gardła.

- Pamiętam jak podczas stanu wojennego... - zaczął emerytowany kolejarz w przyciasnych kalesonkach w odcieniu świeżego groszku oraz pasiastej górze od piżamy, ale brutalnie przerwał mu młody ojciec spod 62.

- Błagam! Tylko bez rozwlekłych analogii. Ja się do pracy spieszę.

Jego strój składał się z gaci w kolorze zbliżonym do latte z cynamonem (cynamon był świeży) i chińskiego T-shirtu za 3,99.

I tak sobie rozmawiali. A tymczasem Zuzia próbowała naprowadzić sąsiadów na właściwy trop. Niestety jej „Bardzo przepraszam! Chciałabym coś powiedzieć” nie robiło na nikim wrażenia, jako że mówiła cicho i była kompletnie ubrana. W końcu machnęła ręką i samotnie udała się na wspinaczkę na ostatnie, 13

piętro. Przypuszczała, że tam zatrzymała się niesforna winda. Być może z kimś w środku, kto potrzebował pomocy?

Na kilku mijanych przez dziewczynę piętrach sytuacja była zbliżona do tej przed chwilą opisaną. Ludzie stali i pokrzykiwali, bardziej wyładowując swoje żale, niż istotnie próbując dociec, co takiego się stało. Tak było aż do 11 piętra, na którym wynajmowała kawalerkę Zuzia. Tam było pusto. Podobnie na dwóch kolejnych kondygnacjach, dokąd dziewczyna dotarła z biciem serca. Cisza i spokój. Oczywiście mieszkali tam głównie studenci.

Drzwi windy na 13 piętrze wyróżniały się szmaragdowozieloną barwą (kolor nadziei, która wiadomo komu matkuje).

Miały wąską długą szybkę, przez którą sporo można było zobaczyć, ale pod warunkiem, że w środku paliło się światło. To było jednak zgaszone, nie pozwalając ustalić, czy zarys tego czegoś, co leży na podłodze należy do istoty żywej (względnie martwej), czy też jest to np. zrolowany dywan?

- O mamuniu... - pomyślała swoim zwyczajem Zuzia, jednocześnie szarpiąc za klamkę. Bez efektu. Drzwi ani drgnęły. Nie zostawiono jej wyboru. Nabrała powietrza w płuca i zaczęła wzywać pomocy najbardziej donośnie jak potrafiła. Z dobrym skutkiem. Coś, jakby tętent stada dzikich koni, dało się słyszeć na klatce schodowej i niezadługo pierwsi mieszkańcy na czele z Dresami znaleźli się, ciężko dysząc na 13 piętrze.



- Czego się drzesz, mała? - zaatakował ją Dres numer trzy, odziany w białe stringi i na szczęście (bądź niestety) okrywającą je białą koszulę.

W Zuzię wstąpił duch asertywności i choć stringi trochę ją detonowały, chwyciła chłopaka za rękę i przyciągnęła do okienka w windzie.

- Patrz! Tam ktoś chyba jest! Może nie żyje! - wywaliła z grubej rury.

Bardzo skutecznie. Już po trzech sekundach kilku Dresów wyważało drzwi, próbując dostać się do środka. Emeryci i młodzi rodzice podrzucali im zza pleców metody, a każdy rozsądny pomysł natychmiast był realizowany. Niestety, drzwi ani drgnęły. A szybka była chyba kuloodporna, ale nie pytajcie skąd takie przypuszczenie.

Po kilku chwilach intensywnych, acz nieskutecznych działań, padła propozycja, żeby zadzwonić po serwis. Wiele osób miało komórki, ale nikt nie znał numeru, umieszczonego dla ułatwienia w środku kabiny. Wieść niosła, że w nocy w windzie zatrzasnęli się studenci, którzy po uwolnieniu udali się w miasto i jeszcze nie powrócili. Trudna sprawa.

Zuzia myślała intensywnie. W końcu wpadła na pomysł, żeby windę ściągać na niższe piętra. Być może na którymś się otworzy? Pomysł się spodobał. Zaczęto liczyć się z jej zdaniem. Tłum rzucił się po schodach w dół. Przyciskano wszystkie włączniki na każdej kondygnacji. Hałas zrobił się ogromny.

Ci których nie obudziła popsuta winda, zostali wyrwani ze snu przez tupiących i przekrzykujących się mieszkańców. Ludzie kłębili się na schodach, trzaskali drzwiami, a chór dzieci, chorych i zdrowych, płakał rozpaczliwie w swoich łóżeczkach.

Apokalipsa.

Wezwano straż, policję i trzy karetki pogotowia (tak na wszelki wypadek).

W chwili, gdy cały zastęp służb podjeżdżał pod klatkę, wokół zgromadził się już tłum: do grona mieszkańców dołączyły osoby mieszkające w sąsiednich blokach oraz przypadkowi przechodnie. Po osiedlu poszła fama, że dresy i studenci zrobili wielką orgię, a potem ktoś użył broni. Trupy miały leżeć po wszystkich piętrach. Aj!

Skutki tej historii były następujące:

1/ zatrzymano trzech najbardziej agresywnych dresów (notowanych). Z braku dowodów winy (dokładniej: z braku szkód i ofiar) wszystkich tego samego dnia wypuszczono, wręczając kilka mandatów, za zakłócanie porządku publicznego, stawianie oporu władzy oraz użycie jej w każdy możliwy sposób.

2/ przesłuchano nieludzko przerażoną Zuzię. Przedstawiono jej zarzuty nielegalnego organizowania zgromadzeń, jak też nieuzasadnionego wezwania służb wszelakich. Wręczono jej mandat w wysokości stypendium naukowego.

Otrzymała też solidny rachunek z pogotowia ratunkowego oraz drugi - od straży pożarnej.

3/ naprawiono windę. Usunięto z niej dwa worki z butelkami po piwie i innych trunkach.

4/ zwołano pierwsze (nie do końca legalne) zgromadzenie mieszkańców bloku z wielkiej płyty. Stawili się głównie emeryci. Ustalono, że osobom poszkodowanym finansowo w porannych zamieszkach należy pomóc. Motywy ich działania były bowiem uzasadnione. Postanowiono też spotykać się regularnie.

5/ problem mandatów rozwiązano dzięki studentom prawa. Chłopcy dostali lekkiego zapalenia sumienia po wysłuchaniu porannej historii opowiedzianej z zachowaniem dramatycznej aranżacji. W celu rozwiązania problemu powołano koło naukowo-ratunkowe. Wypożyczono podręczniki, a następnie je przeczytano!! Ostatecznie, wszystkie mandaty wystawione Zuzi zostały anulowane, a rachunki wycofano. Co się zaś tyczy Dresów, to tu sukces był połowiczny, niemniej sprawę nieco załagodzano.

6/ studenci z koła naukowego bez problemów zdali sesję letnią. Zadziwili tym swoich wykładowców, jak też samych siebie. Koło naukowe świętowało swój sukces jeszcze przez wiele tygodni. Padła propozycja by działać dalej, służąc społeczeństwu! A co?

7/ znajdujący się po sąsiedzku sklep z bielizną zanotował znaczący wzrost obrotów. Wykupiono przede wszystkim stroje nocne.

A co z Zuzią?

Po tym zdarzeniu długo nie mogła dojść do siebie. Bała się wychodzić z domu, nie używała windy, a na widok bluzy z kapturem, reagowała atakami paniki. Dopiero po tygodniu zorientowała się, że nikt do niej nie ma pretensji, wręcz budzi wyraźną sympatię, zwłaszcza wśród studentów prawa. Po głębokim

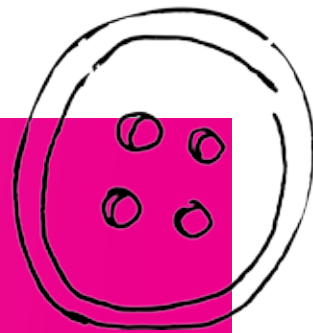
namyśle doszła do wniosku, że to jej chęć niesienia pomocy została doceniona. I choć mówi się, że nie jesteśmy kochani za nasze zalety, to w blokach z wielkiej płyty wszystko jest możliwe i Zuzia może mieć trochę racji. W każdym razie nie skaczcie w windzie.

Kasia Puchalska

Oddech







Malowane na ścianie.

Takie były początki, pierwotny człowiek próbując zaczarować swoją rzeczywistość, malował na ścianach jaskiń, m.in. w Lascaux, to, co było mu bliskie i od czego zależała jego egzystencja. Żubry, bizona, jelenie, konie, utrzymane w tonacjach żółci, brązów, czerwieni i czerni pokrywały ściany jaskini. To nie akt twórczy był ważny dla ówczesnego człowieka, ale pewien rytuał, który oswajał świat.

Jednak z czasem świat się zmieniał. Drzemiąca w człowieku potrzeba



<http://pl.wikipedia.org>

wyrażania swoich emocji przez proces twórczy oraz ozdabiania otoczenia, sprawiły, że historia malowania na ścianie toczyła się dalej.

Jedną z pierwszych technik stosowanych w malarstwie ściennym było al secco. Polegała na pokrywaniu suchego tynku farbami zmieszanymi z wodą. Na Krete i w Starożytnej Grecji ściany zaczęto pokrywać metodą al fresco (nanoszenie farb na mokry tynk). Barwy uzyskiwano dzięki enkaustyce, tj. malowaniu suchym patyczkiem w wosku, który się później podgrzewało. Malowano rośliny, zwierzęta, sceny walk lub zabaw, po to, aby ozdobić otoczenie.

Ściany ozdabiano również mozaikami. Na początku używano zwykłych morskich otoczków, szkiełek lub ceramiki, z czasem zaczęto je robić z marmurów, a nawet kamieni szlachetnych.



<http://pl.wikipedia.org>



<http://pl.wikipedia.org>

W renesansie do pomieszczeń wprowadzano więcej zdobień i dekoracji, nawiązując do antyku. Ściany upiększono tapiseriami (tkaniną ozdobą z różnymi motywami przypominającą obraz), malowidłami ściennymi, drewnianymi, malowanymi i rzeźbionymi boazeriami czy rzadziej tapetami papierowymi, ręcznie malowanymi lub niekiedy skórzanymi, z wyciskаныmi wzorami.

Powstałe w tym okresie freski Michała Anioła pokrywające ściany Kaplicy

Sykstyńskiej stanowią przejaw ludzkiego geniuszu i pasji.

W baroku malarstwo ścienne kwitło. Malarze baroku podejmowali najczęściej tematykę religijną, mitologiczną, alegoryczną, historyczną i portretową. Stosowano chętnie światłocien, bogatą symbolikę i efektowny iluzjonizm. W ostatnim czasie pojawił się również tzw. fresk fotograficzny. Jest to nowa technologia, wynaleziona we Włoszech. Polega ona na tym, że obraz na specjalnym arkuszu przykleja się - li-cem - do zagruntowanej specjalnym preparatem ściany. Po pewnym czasie odkleja się taki arkusz. Jednakże obraz pozostaje na ścianie, ponieważ farba wsiąkła już w tynk. Można w ten sposób przenosić na ścianę przeróżne obrazy, od klasycznych dzieł starych mistrzów do fotografii współczesnej.

Ciekawym sposobem wyrażania swoich emocji i artyzmu jest malowanie na ścianach w technice zwanej graffiti, może być malowane „z ręki”, a więc za



<http://pl.wikipedia.org>

<http://pl.wikipedia.org>



pseudonimów młodych ludzi, którzy w ten sposób znakowali teren. Upowszechnienie farb w sprayu sprawiło, że napisy stały się większe, bardziej kolorowe i łatwiejsze do zauważenia. To właśnie tego typu formy stanowią graffiti w ścisłym znaczeniu.

pomocą samych farb oraz szablonów i pokrywaniu wolnych obszarów farbą. Zwyczaj pisania po murach celem przekazania określonych treści miał swoje początki już w czasach starożytnych. Antyczne źródła informują, że po bitwie pod Cheroneją na budynkach Aten pojawiły się liczne napisy ośmieszające Filipa II i Macedończyków.

W Rzymie nagminnie pojawiały się też napisy ośmieszające lub krytykujące niektórych polityków, a nawet cesarzy, jak na przykład Nerona. Napisy te nie zawsze jednak odnosiły się do polityki, często anonimowi autorzy wyrażali w nich uwielbienie dla niektórych sportowców, heter lub innych osób.

Początki graffiti w dzisiejszym tego słowa znaczeniu sięgają przełomu lat 60. i 70. XX wieku, kiedy to popularne stały się tzw. tagi - wykonane flamastrem lub farbą stylizowane zapisy imion/

Trudno jednoznacznie określić, kiedy na ziemiach polskich pojawiały się pierwsze napisy na murach. Wiadomo, że w latach dwudziestych XIX wieku na ulicach Warszawy nieznani sprawcy umieszczali napisy, w których ośmieszali okupujących kraj Rosjan, a przede wszystkim carskiego brata wielkiego księcia Konstantego. W przededniu wybuchu powstania listopadowego na drzwiach Belwederu, siedziby wielkiego księcia pojawiła się złośliwa informacja, że pałac jest na sprzedaż. W czasie powstania listopadowego mury Warszawy pokryte były patriotycznymi napisami zachęcającymi Warszawiaków do walki i wytrwania. Podobne napisy pojawiały się w Warszawie i wielu innych polskich miastach w okresie kolejnych powstań narodowych oraz rewolucji 1905 r., jak również w okresie I Wojny Światowej i późniejszych walk o granice odrodzonej Polski. W czasie II Wojny Światowej

młodzi ludzie działający w konspiracji malowali na murach hasła ośmieszające okupanta. Nowy okres rozwoju graffiti to początek lat 80, a dokładniej czas stanu wojennego, kiedy to pojawiały się na ulicach wielu miast prace wykonywane za pomocą szablonów lub po prostu pędzla. Ta forma aktywności twórczej i politycznej przybrała na sile pod koniec lat 80. także za sprawą Pomarańczowej Alternatywy i wielu innych mniejszych grup lokalnych w Polsce.

Ostatnio jednak graffiti nie jest tylko wyrazem buntu, a grafficiarze umieszczają swoje dzieła na budynkach prywatnych firm czy punktów usługowych, tworząc w ten sposób specyficzną reklamę.

Malujemy współcześnie ściany w naszych domach na różne kolory, używamy szablonów, naklejek, tapet, fototapet, kafelków, robimy przecierki, używamy iluzji... technologia i wyobraźnia pozwalają nam stworzyć przeróżne obrazy, wzory i złudzenia optyczne.

Przez całe wieki wiele się nie zmieniło, ludzie pragną piękna w swoim otoczeniu, pragną wyrażać się poprzez sztukę, a malowanie na ścianie, choć miało różne motywy i przybierało różne techniki, zawsze było sposobem na upiększenie swojego świata.

Marta Krzyżanowska



Lusterko w moim pok^orobie [🚲]nie zielona

CZYLI O STEREOTYPACH NARODOWOŚCIOWYCH

- Młoda, a gdzie ten twój chłop?
- Permanentnie nieobecny – odpowiedziałam spokojnie, ale w duchu zaczynałam się denerwować. Wiedziałam, co będzie się działo za chwilę. – Mam czas – dodałam, żeby uciąć rozmowę. – Kiedyś znajdę kogoś, kto mnie zechce...
Mój rozmówca westchnął ciężko.
- Na pewno. Tylko pamiętaj: żadnych Arabów, to fanatyczni muzułmanie, sprzeda cię taki i koniec. Ukraińcy to mendy... Finowie też – gbury, nie odezwą się po ludzku... A o Rosjanach to nawet nie ma co mówić! Żadnych Rosjan!

Poczułam, że moje horyzonty kurczą się niczym sweter w praniu. Tylko patrzeć jak rodzinna selekcja przeniesie się na Polaków, a wtedy moim jedynym problemem będzie wybór zgromadzenia z najładniejszymi habitami. Najlepiej błękitnymi, żeby dobrze współgrały z kolorem moich oczu.

Przed wszystkim jednak zdziwiłam się po cichu: skąd w jednym człowieku tyle stereotypów? Sama bym na to wszystko nie wpadła. Nie powiedziałam jednak na to nic, nie chcąc wdawać się w dyskusje i kłótnie. Wzruszyłam ramionami, poszłam do domu i na jakiś czas zapomniałam o całym zajściu.

Ta dość dziwna rozmowa przypomniła mi się nagle podczas pobytu za granicą. Jedna z koleżanek opowiedziała mi o spotkaniu

z kilkoma Francuzkami. Nasze rówieśniczki zadały ciekawe pytanie: czy lubimy nasz kraj? Przecież jest taki biedny...

Od tamtej pory częściej pytałam cudzoziemców o Polskę. Byłam ciekawa ich odpowiedzi. W to, że wszyscy doskonale znają geografie i wiedzą, gdzie szukać naszego kraju nawet nie wątpiłam. Niestety, szybko okazało się, że jestem młodocianą idealistką, na dodatek bardziej naiwną niż ustawa przewiduje.

Naszą pierwszą ofiarą była grupa młodzieży z Dominikany. Na hasło „Polska” chłopak spojrzał na nas tak, jakbyśmy pytały go co najmniej o teorię Olduvai. Wiedział, gdzie leżą Niemcy i Rosja, ale tego kraju „pomiędzy” już nazwać nie potrafił – ku naszej cichej rozpacz. Nawet przywołanie Jana Pawła II nie od razu pomogło. Delikwent skojarzył fakty dopiero wtedy, kiedy jedna z jego koleżanek porządnie go zwymyślała. To, że można nie skojarzyć Papieża z jego ojczyzną nie mieściło się w głowie.

Humor poprawili nam Wenezuelczycy, odnosząc się do nas bardzo życzliwie. Niestety, wszystko zepsuli Hiszpanie, myląc nas z Rosjanami. Francuzi i ich dość lekceważące miny też nas nie podbudowały. Jednym słowem - cytując niezawodną Julię Renard z „Radcy stanu” – katastrofa.

Nie ukrywam, że było to dla mnie przykre doświadczenie. Zaczęłam się zastanawiać: skąd bierze się to, że albo widzi się nas w nienajlepszym świetle, albo nie widzi wcale, w najlepszym wypadku myląc z kim innym?

Doszłam do wniosku, że w pewnym sensie sami jesteśmy sobie winni. Dlaczego?

Spójrzmy na początek tego artykułu. Same stereotypy: stare jak świat i niemiłe. Bardzo często się nimi posługujemy, nawet nieświadomie. Nie twierdzę, że tak robią wszyscy – zjawisko jest jednak dość powszechne, stykam się z nim i dlatego o nim piszę. Wyrabiamy sobie opinię o cudzoziemcach na podstawie sta

rych uprzedzeń i banalnych frazesów. Dlatego kpimy z Niemców, Ukraińcy są dla nas biedni i zacofani (dobrze, jeśli widzimy różnicę między nimi a Rosjanami!), każdy Amerykanin to otyły amator fast-foodów, a wspomniany Rosjanin – podły imperialista, którego trzeba oskarżyć o całe zło tego świata.

Skoro my myślimy w ten sposób o innych i jakoś słabo nam wychodzi walka z tym schematem, to przestaje mnie dziwić choćby niemiecki obraz Polaka – złodzieja, który ukradnie wszystko, co nie jest na stałe przytwierdzone do podłoża, a już szczególnie czyha na wypieszczone mercedesy naszych zachodnich sąsiadów. Oczywiście później je sprzedaje. Zarobione pieniądze przeznaczają na wódkę – może wypić każdą ilość, w końcu śmiertelna dawka alkoholu nie dotyczy Polaków i Rosjan.

Nieprzyjemne to i krzywdzące. Wiadomo, nie każdy nasz rodak ma lepkie palce, nie każdy Niemiec to sknera i sztywniak, tak jak nie każdy mieszkaniec Dalekiego Wschodu to fanatyk religijny i Achmed Martwy Terrorysta.

Jakiś czas temu zawarłam interesującą znajomość na jednym z portali społecznościowych. Pierwsze pytanie, jakie padło w rozmowie między mną, a moim rówieśnikiem z Moskwy sprawiło, że prawie spadłam z fotela.

- Czy ty nienawidzisz Rosjan?

Zagotowało się we mnie – znowu stereotypy. Poczułam się urażona i trochę na biedaka nakrzyczałam. Odpowiedź zaskoczyła mnie jeszcze bardziej. Usłyszałam... „dziękuję”. Od tamtej pory ja i Alosza jesteśmy dobrymi wirtualnymi kumplami.

Wniosek? Otwórzmy się na innych chociaż trochę. Może się okazać, że „podły imperialista” i nielubiany „Szwab” to świetni ludzie, których warto poznać bliżej.

Zatwardziałe serce i umysł daleko nas nie zaprowadzą. Przy okazji sami będziemy lepiej postrzegani. Wiele stereotypów bierze

się przecież z niewiedzy, a osoby, które używają ich najczęściej zazwyczaj nigdy nie spotkały ani jednego przedstawiciela nacji, którą krytykują.

Odrobina życzliwości i świeższa myśl bez uprzedzeń potrafi zdziałać cuda – sama się o tym przekonałam. Dajmy więc sobie spokój ze historycznymi antagonizmami i obiegowymi opiniami. Samodzielne odkrywanie świata jest fajniejsze!

Karolina Dyja



MEŻCZYŹNI SĄ LENIWI

cz. 4

/części 1,2,3 w poprzednich numerach/

Nadeszła oczekiwana sobota. Paweł prawie się nie odzywał, mijał mnie z tajemniczą miną. Po południu zauważyłam, że szykuje się do wyjścia. Prawie zwątpiłam, kiedy podszedł do mnie i wręczył kopertę.

- Proszę, przyjeźdź - powiedział i prawie uciekł z domu.

Z koperty wyjęłam piękne zaproszenie na godzinę dziewiętnastą, do jednej z najlepszych restauracji w Warszawie. Miałam niewiele ponad dwie godziny. Nie wiedziałam co mam myśleć.

Co on chce zrobić? Co chce mi powiedzieć? Po co to wszystko? Dlaczego wyszedł wcześniej? Skąd to dziwne zachowanie?

Włożyłam elegancką, granatową sukienkę, ułożyłam włosy, zrobiłam deli-

katny makijaż i pełna niepokoju udałam się na randkę ze swoim mężem. Byłam podekscytowana, niespokojna i nie do końca wiedziałam, co mnie czeka, ale... ale jedno wiedziałam na pewno. znów poczułam się kobietą.

Kiedy kelner odprowadził mnie w stronę zarezerwowanego stolika, stanęłam jak sparaliżowana. Nie mogłam opanować emocji, a łzy wzruszenia napłynęły mi do oczu. Na stoliku stał wazon z kilkudziesięcioma, krwistoczerwonymi różami. Paweł z uroczystą miną podniósł się, ucałował moją dłoń, a następnie usta.

- Kocham cię - szepnął do ucha i pomógł usiąść przy stoliku.

Nie byłam w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Czułam, że rozplaczę się, jak tylko spróbuję otworzyć usta. Kiedy kelner odszedł z przyjetym

zamówieniem, mój mąż wziął mnie za rękę i zaczął mówić.

- Wiem, że byłem egoistą. Przestałem się starać i pochłonęło mnie lenistwo. Kiedy zaczęłaś postępować tak samo, na początku byłem zły, ale w końcu zrozumiałem, że ty też masz prawo do swojego życia. Prawo do bycia człowiekiem. Przekonałem się też, że obowiązki domowe, które wydawały mi się proste i łatwe, wcale takie nie są. Obawiam się, że nie potrafię zmienić się na tyle, na ile byś chciała, ale znalazłem rozwiązanie.

- Jakie to rozwiązanie? – zaniepokoiłam się, wietrząc jakiś podstęp.

- Gospośia - szepnęła nieśmiało - Rozmawiałem z kolegami i jeden z nich polecił mi starszą panią, która przychodzi do niego dwa razy w tygodniu.

Wiem, wiem – podniósł rękę, widząc, że chcę mu przerwać – nie protestuj, proszę, zanim nie wysłuchasz do końca. To uczciwa i dobra kobieta, dorabia sobie do niskiej emerytury. Maciek zna ją od pięciu lat i ręczy za nią.

Spojrzał na mnie w oczekiwaniu. W pierwszym momencie ogarnęło mnie rozczerowanie. Cholera, to o to chodzi? Po to ta cała oprawa? Nie mogłam sobie wyobrazić, jak obca kobieta kręci się po naszym domu, ustawia

nasze rzeczy i układa bieliznę. Poczulałam dreszcz na plecach.

- Nie! - chciałam krzyknąć, ale spojrzałam w oczy Pawła i zobaczyłam w nich miłość i troskę. Zrozumiałam, że szukał sposobu, żeby pomóc i mi i sobie.

- Nie wiem co powiedzieć, bardzo mnie zaskoczyłeś.

- Kochanie, nic nie mów. Obiecuj mi tylko, że się nad tym zastanowisz i na razie to zostawmy. A to - sięgnął do wnętrza marynarki – prezent na przeprosiny.

Powoli otworzyłam pudełeczko, które mi podał. Na miękkim atłasie leżały piękne kolczyki. Rubiny oprawione w złoto. Znów poczułam, jak serce bije mi mocniej.

- To próba przekupstwa? - próbowałam zamaskować swoje wzruszenie.

- Nie, to przeprosiny. Wyraz szacunku, miłości i próba zażegnania kryzysu, który podobno dosięga każde małżeństwo po siedmiu latach – uśmiechnął się szelmowsko.

Wieczorem, kiedy w oświetlonej świecami sypialni, patrzyłam na jego wysportowane ciało, umięśnione ręce i uda, czułam, jak zalewa mnie fala ciepła.

Czy chciałabym, żeby mój mąż przestał dbać o siebie kosztem prania, zmywania, czy odkurzania? Uśmiechnęłam się.

Kiedy przywarł do mnie ustami, poczułam smak tęsknoty i pożądania.

- Przepraszam, ale dziś nie dam rady być delikatny – szepnął mi do ucha. Uniósł mnie lekko, coraz mocniej napierając na moje ciało. Ogarnął mnie żar i bezwiednie poddałam się pożądaniu.

Po dwóch godzinach rozkoszy, naga, spełniona i szczęśliwa, wyszeptałam - tak.

- Co tak, Małgosiu? – spytał Paweł wciąż trzymając mnie w objęciach, patrząc mi w oczy i głaszcząc moje ramiona.

- Zgadzam się na gosposię - uśmiechnęłam się.

- Ach, tak - zobaczyłam wyraz triumfu na jego twarzy.

Życie to sztuka kompromisu. Do tego potrzeba dwoje kochających się i dojrzałych ludzi. Dwoje ludzi, którzy odsuną dumę i w imię miłości pomyślą o wspólnym dobru. Którzy nie będą ze sobą rywalizować, tylko wzajemnie wspierać.

Wtedy i trochę lenistwa nie zaszkodzi.

Majka Kwiwsiuk



„Myślisz,
ponieważ nie rozumiesz.

Kiedy powstaje zrozumienie,
myślenie znika”.

OSHO

BETON?

Pierwsze skojarzenie, to nasze wielkie miejskie sypialnie, z takim rozmachem budowane w latach 70-tych ubiegłego stulecia, a dziś niemal wszędzie docieplane styropianem.

Materiał nierozzerwalnie związany z budownictwem, które jak się wydaje, w najbliższych latach czeka niemała rewolucja. Nie wszyscy bowiem zdajemy sobie sprawę z tego, że to budownictwo właśnie, a w szczególności nasze mieszkania należą do odbiorników najbardziej nieefektywnie wykorzystujących dostarczoną energię. Blisko 70% zużywanej energii przez gospodarstwa domowe to energia potrzebna do ich ogrzewania, a to z kolei ponad 20% energii zużywanej ogółem. Nic dziwnego, że tak dużą popularnością cieszą się materiały izolacyjne.

Beton z pewnością pozostanie dalej podstawowym materiałem budowlanym, lecz z uwagi na jego bardzo słabe parametry izolacyjności cieplnej ($\lambda \approx 1,0 \text{ W/m}^2\text{K}$) jedynie jako konstrukcja szkieletowo-nośna.

Zgodnie z Dyrektywą Parlamentu Europejskiego i Rady Europy 2010/31/

UE z dnia 19 maja 2010 r. począwszy od 2021 r. obowiązującym standardem budowlanym w UE będą budynki „o niemal zerowym zużyciu energii”. Oznacza to, że ich zapotrzebowanie na energię w ciągu całego roku będzie poniżej 15 kWh/m^2 (tzw. budownictwo pasywne).

Dziś, przy znacznie już wyśrubowanych normach budowlanych, referencyjne zapotrzebowanie na energię w celu zapewnienia komfortu cieplnego mieszkańcom wynosi ok. $120 \text{ kWh}/(\text{m}^2\text{rok})$, a i to spotkać jedynie można w nowo oddawanych do użytku domach i mieszkaniach. Wszechobecne blokowiska poprzedniej epoki bardzo daleko odbiegają od dzisiejszych wymagań, a warunków budynku pasywnego nie spełnią nawet po bardzo gruntownie przeprowadzonej termomodernizacji.

Coraz większe koszty pozyskania energii, degradacja środowiska emisją CO_2 oraz ostatnie problemy energetyki jądrowej powodują coraz większe zainteresowanie energią naturalną, przede wszystkim sposobami i technologiami pozwalającymi na znacznie efektywniejsze jej wykorzystanie, bez niepotrzebnych strat szczególnie właśnie w budownictwie. Istotą budownictwa pasywnego jest maksymalizacja zysków energetycznych i ograniczenie strat ciepła.

Jak osiągnąć ponad ośmiokrotne zmniejszenie zapotrzebowania bu-

dynków na energię?

Dzisiejsza technologia produkcji materiałów pozwala już na to przy jedynie ok. 8% wzroście kosztów inwestycji. Należy jednak taką decyzję podjąć już na etapie planowania budowy domu. Szczególną uwagę zwrócić należy na zwartą bryłę budynku z eliminacją wszelkich mostków cieplnych, dobrą izolacyjność cieplną ścian zewnętrznych, południową orientację pomieszczeń dziennych wraz z energooszczędną stolarką okienną i drzwiową. Budynek pasywny winien być budynkiem szczelnym, nieprzepuszczającym powietrza przez przegrody zewnętrzne, a związane jest to z koniecznością zastosowania systemu wentylacji mechanicznej nawiewno-wywiewnej z odzyskiem ciepła. Już tylko dzięki temu ograniczymy o ok. 75% straty ciepła w stosunku do powszechnie jeszcze stosowanej obecnie w budownictwie wentylacji naturalnej. Rozwiązaniem dodatkowo wspomagającym wentylację mechaniczną w domach pasywnych może być gruntowy wymiennik ciepła. W okresie zimowym świeże powietrze najpierw przepływa przez takie urządzenie dzięki czemu jest już wstępnie podgrzane, po czym dodatkowo w rekuperatorze dogrzewane jest powietrzem zużyтым, wywiewanym z budynku. W większości przypadków zapotrzebowanie na ciepło zostaje zaspokojone dzięki

zyskom cieplnym z promieniowania słonecznego, oraz ciepłu oddawanemu przez urządzenia i przebywających w budynku ludzi. W okresach szczególnie niskich temperatur dostarczane do pomieszczeń powietrze jest dodatkowo dogrzewane.

Budynki pasywne nie wymagają zatem tradycyjnej instalacji centralnego ogrzewania. Stosuje się w nich czasem systemy podgrzewania podłogowego, bądź ściennego zasilane np. pompami ciepła wspomaganymi bateriami ogniw fotowoltaicznych.

Bogaci, to ludzie oszczędni, potrafiący bardzo efektywnie wykorzystywać swoje zasoby, nic zatem dziwnego, że w budownictwie pasywnym prym wiodą Austria i Niemcy. Austriacy mają już ponad 15000 mieszkań wybudowanych w tej technologii, a następne 5000 jest w budowie. W samym Wiedniu zrealizowano już 1150 mieszkań, a obecnie powstaje największe w Europie osiedle mieszkaniowe „Eurogate” z blisko 2000 mieszkań, których mieszkańcy ponosić będą minimalne koszty z tytułu ich ogrzewania.

Cieszy fakt, że również u nas powstają tego typu obiekty, a coraz większa rzesza prywatnych inwestorów poważnie rozważa budowę domu w tej oszczędnej technologii.

To nie tylko moda – to konieczność.

Jan Niezgoda



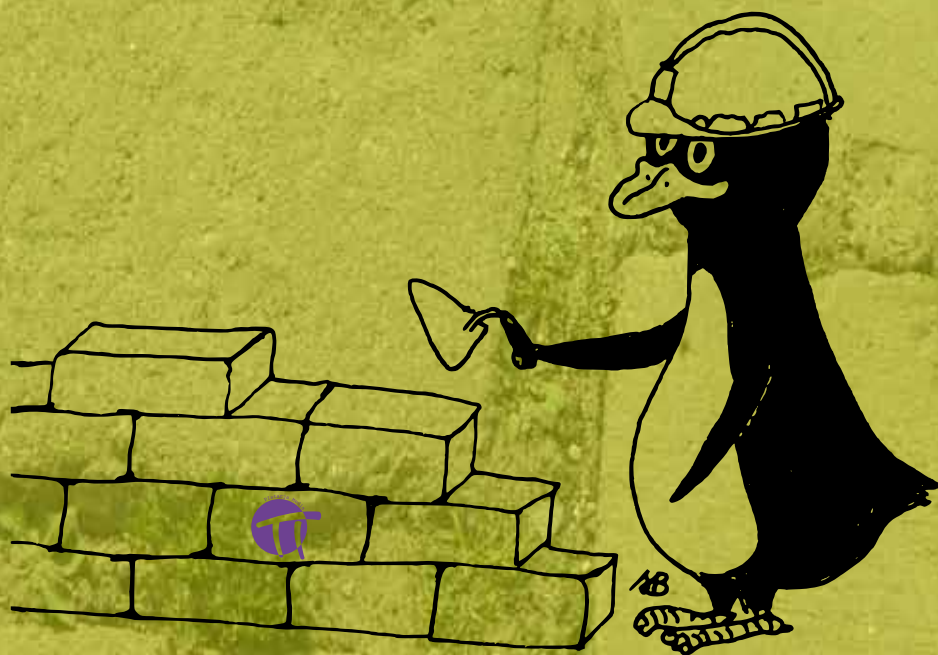
Bajki Nowe

symbioza

Kot zjada mysz,
żaba ważkę,
pies kota,
pająk muchę,
psa gnębi człowiek
człowiek człowieka,
ale jak rozpoznać
który na którego czatuje.

KATARZYNA BOGUCKA





Pistacja Media